Paweł Jaworski

Próba przetransportowania siłą do Wenezueli tzw. amerykańskiej pomocy humanitarnej wcale nie pomogła młodemu politykowi, który rzucił wyzwanie prezydentowi Nicolasowi Maduro. Międzynarodowe poparcie dla planów amerykańskiej interwencji wyraźnie osłabło. „Humanitarna" hipokryzja coraz bardziej wychodzi na jaw.
Jasne stało się, że sobota 23 lutego była dla Juana Guaido i popierających go Stanów Zjednoczonych dniem próby w walce o "rekonkwistę" Wenezueli. Próbę tę należy jednak zaliczyć do nieudanych. Nie tylko dlatego, że interwentom nie udało się wwieźć przemocą do kraju tzw. "pomocy humanitarnej", która miała za zadanie przede wszystkim wzmocnić polityczny mandat Guaido i przetrzeć szlak dla innego rodzaju amerykańskiej "pomocy". Również dlatego, że dowiedli oni w ten sposób swojej nieskuteczności. Dwa dni po akcji nie tylko dyplomacja Unii Europejskiej, lecz i wiceprezydent Brazylii wyraził kategoryczny sprzeciw wobec ewentualności zmian politycznych w Wenezueli na drodze interwencji wojskowej w tym samym czasie, gdy sam Guaido do niej nawołuje. Oznacza to, że międzynarodowa koalicja przeciw Maduro stopniowo słabnie.

Miesięczne ultimatum

Minął miesiąc, od kiedy 35-letni Juan Guaido, na początku stycznia wybrany na nowego przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego, ogłosił się tymczasowym prezydentem Wenezueli i został momentalnie uznany przez Biały Dom. Narracja Donalda Trumpa i jego ekipy momentalnie ustawiła przekaz większości opiniotwórczych mediów świata: z jednej strony okrutny tyran Maduro ciemiężący własny naród "socjalizmem", z drugiej – Prometeusz wolności Guaido, jedyna nadzieja kraju na "przywrócenie demokracji". Przez cały ten okres kwestia wpuszczenia do Wenezueli amerykańskiej pomocy humanitarnej stanowiła jeden z kluczowych punktów sporu między stronami konfliktu. Opowiadanie przez większość mediów o tym, że trwa kryzys humanitarny rozpętany przez rząd, że brakuje żywności i leków, że ludzie muszą uciekać z kraju, by nie poumierać z głodu i chorób, stanowiło kontekst jednoznacznie dający do zrozumienia przeciętnie zorientowanemu odbiorcy, że opieranie się przyjęciu oferty pomocy USAID stanowi wręcz zbrodnię przeciwko ludzkości – o co Guaido i Trump rzeczywiście oskarżyli w końcu Maduro. A wyłączność na rozdysponowanie spornego transportu miał od początku nowy „prezydent".
Było to o tyle ważne, że Trump od początku kierował w stronę Caracas coraz słabiej zawoalowane groźby interwencji wojskowej – to ta słynna fraza: "Wszystkie opcje są na stole". Opowieść o kryzysie humanitarnym pełni tu centralną rolę, ponieważ w swych dotychczasowych atakach na kraje Globalnego Południa Waszyngton posługiwał się najczęściej uzasadnieniem w postaci potrzeby natychmiastowego działania "w obronie praw człowieka". Było tak zarówno w przypadku pierwszej i drugiej wojny w Iraku, wojen hybrydowych przeciwko Kaddafiemu w Libii i Assadowi w Syrii, jak i podczas znacznie wcześniejszych zamachów stanu w Ameryce Środkowej za prezydentury Ronalda Reagana.
Nadal nie ma stuprocentowych dowodów, że USA planują atak na Wenezuelę, jednak poszlaki są wyjątkowo mocne, a potrzeba opanowania kryzysu humanitarnego jest traktowana jako podstawowe uzasadnienie dla hasła pozbawiania władzy Nicolasa Maduro. Dlatego popierany

przez Trumpa Guaido postawił swojemu adwersarzowi ultimatum: wpuszczenie amerykańskiej pomocy jest dla Maduro jedyną szansą, by oddał urząd "po dobroci". W przeciwnym razie szansa na jakiekolwiek negocjacje bezpowrotnie przepadnie – w domyśle: Maduro zostanie obalony siłą. Deadline został wyznaczony na dzień 23 lutego – miesiąc po ogłoszeniu się prezydentem przez Guaido.
W tym czasie zawiodły oczekiwania Waszyngtonu, że w obliczu gróźb Trumpa na stronę Guaido przejdzie wystarczająca część armii, by doprowadzić w ten sposób do skutecznego przewrotu przeciwko Maduro. Przypadki dezercji były sporadyczne. W tej sytuacji sprawa "pomocy humanitarnej" stała się języczkiem u wagi. Guaido i Amerykanie oparli więc swoją taktykę na intensyfikacji zabiegów na arenie międzynarodowej, akcentując "zagrożenie dla praw człowieka" w Wenezueli. Media chętnie podjęły temat niezgody prezydenta Maduro na wjazd transportu pomocy z USA, na ogół bezkrytycznie powtarzając stanowisko Białego Domu: oto tyran woli zagłodzić własnych obywateli niż przyjąć pomoc.
Korzystając z tej narracji, Juan Guaido zdołał zgromadzić poparcie wpływowych państw, globalnych sojuszników USA, m.in. krajów Unii Europejskiej i mniej więcej połowy państw Ameryki Łacińskiej – wszystkich, w których władzę sprawują prawicowe, proamerykańskie rządy. Fakty przemawiające za realną możliwością podjęcia przez Waszyngton interwencji militarnej i dalszej destabilizacji Wenezueli pod zwyczajowym pretekstem obrony praw człowieka podejmowane były początkowo wyłącznie przez dyplomatów i media obozu politycznego skupionego w tej sprawie wokół Rosji, Chin i Kuby, traktowanych przez USA jako wrogowie.
Manifestacja przeciw ingerencji amerykańskiej w Caracas/Twitter
Takie były okoliczności polityczne towarzyszące zbliżającej się dacie 23 lutego, kiedy miał się ostatecznie rozstrzygnąć temat "pomocy humanitarnej" oczekującej w Kolumbii, a wraz z nią – Juana Guaido. W piątek przed sądną sobotą na granicy wenezuelsko-kolumbijskiej odbyły się dwa koncerty muzyczne o propagandowym charakterze. Po stronie Kolumbii miliarder Richard Branson zorganizował show pod nazwą Venezuela Aid Live, mający budzić skojarzenia z koncertami sprzed lat na rzecz głodującej Afryki. Po drugiej stronie wenezuelskiej zwolennicy chavizmu dali własną muzyczną odpowiedź o antyimperialistycznym wydźwięku.
Jeszcze w piątek Maduro kazał zupełnie zamknąć granicę ze względu na jednoznaczne sygnały ze strony władz Kolumbii, że wesprą ostateczną próbę przeforsowania transportu "pomocy". Caracas uznało działania sąsiada za wrogie – całkiem słusznie, biorąc pod uwagę zapał, z jakim prezydent Duque asystuje Trumpowi i Guaido w "przywracaniu demokracji", łącznie ze zgodą na lądowanie amerykańskich samolotów wojskowych opodal granicy Kolumbii z Wenezuelą. Dzień sądu w końcu nadszedł i rzeczywiście doprowadził do przesilenia, jednak raczej z korzyścią dla strony Maduro.

Dym nad mostem Santander

Wydarzenia 23 lutego większość mediów relacjonowała w sposób tendencyjny lub rażąco stronniczy. W kilku przygranicznych miejscowościach po stronie Wenezueli doszło do gwałtownych starć zwolenników Guaido z Gwardią Narodową, w których padły co najmniej cztery ofiary śmiertelne. Media skupiły się jednak na miejscu, w którym nastąpiła próba przeforsowania transportu USAID, nieraz mieszając wydarzenia tam się rozgrywające z zamieszkami w innych miejscach. Mimo to, jedynie najwierniejsze Trumpowi tytuły pozwoliły sobie na publikację absurdalnie kłamliwej wersji w rodzaju tej, jaką podała "Gazeta Wyborcza" –

że pomoc humanitarna wjechała do Wenezueli i została tam spalona przez "bojówki Maduro" lub na polecenie władz. Z chaosu informacyjnego da się wyciągnąć kilka suchych faktów, jakie miały miejsce tego dnia na zamkniętym moście granicznym między Wenezuelą a Kolumbią.
Z góry było wiadomo, że konwój z "pomocą" będzie próbował dostać się na terytorium Wenezueli siłą. Nie było innej możliwości. "Pomoc" załadowano na trzy ciężarówki, które ruszyły w stronę granicy z kolumbijskiej miejscowości Cucuta (miasteczko wygląda, jakby samo potrzebowało pomocy humanitarnej). Transport został uroczyście "odprawiony" przez Juana Guaido, który pojawił się tam, mimo że ma zakaz opuszczania kraju. Konwój wjechał w końcu na dzielący oba kraje most Francisco de Paula Santander i zatrzymał się tuż przed barykadą, strzeżoną przez szpaler wenezuelskich służb mundurowych. Niedługo potem ładunek faktycznie spłonął.
Wiele wpływowych mediów twierdziło, że to straż wenezuelska podpaliła go "granatami z gazem łzawiącym". Ta – mówiąc wprost – niedorzeczna wersja była powtarzana za opozycyjną telewizją NTN24. Krążący w social mediach materiał zdjęciowy i filmowy pozwala stwierdzić, że najprawdopodobniejszym powodem pożaru były koktajle Mołotowa, jakie w stronę sił wenezuelskich leciały od strony Kolumbii. Rzucali je guarimberos, czyli słynący z przemocy wenezuelscy bojówkarze, tylko nie rządowi, a opozycyjni, od kilku lat będący nieodzownym elementem demonstracji przeciwko Maduro w dużych miastach. Jeden z filmów nakręcony komórką wyraźnie pokazuje, jak jeden z koktajli leci w stronę ładunku, który chwilę potem stanął w płomieniach. Większość transportu jednak uratowano i pozostała ona ostatecznie po stronie kolumbijskiej.
Czy smutny los "pomocy humanitarnej" mógł być prowokacją stronnictwa Guaido? Nie wiadomo. Jednak jeszcze tego samego dnia uzurpator oświadczył, że "Maduro spalił pomoc humanitarną, która mogła pomóc dziesiątkom tysięcy mieszkańców Wenezueli". Jasno dał również do zrozumienia, że dotychczasowego prezydenta należy pozbawić władzy wszelkimi sposobami, napisał też znowu, że "wszystkie opcje są na stole". Najpewniej przygotowany był na to, że porażkę w przeforsowaniu "pomocy" będzie można przekuć na swoją korzyść i zaostrzyć kurs – dopuścił bowiem w ten sposób możliwość agresji ze strony USA, chociaż wcześniej podkreślał, że w grę wchodzą wyłącznie środki pokojowe.
O tym, że sobotnie wydarzenia mogły być w dużej mierze ustawione przez opozycję, może świadczyć fakt, że doszło do spektakularnej dezercji na innym odcinku granicy. Miała być ona spontaniczna, a okazała się prawdopodobnie umówiona. Kilku żołnierzy wenezuelskich przejęło pojazd opancerzony, staranowało nim barykadę na granicy, poturbowało nim parę osób i przedostało się na stronę kolumbijską. Tam już czekali na nich dwaj członkowie opozycji, z których jeden wołał do służb kolumbijskich: "Oni są z nami".
Mike Pompeo z Donaldem Trumpem/twitter
Strona waszyngtońska czuła się po sobocie wyjątkowo pewnie. Dwa dni później miała się odbyć w Bogocie konferencja tzw. Lima Group, czyli waszyngtońskiego stronnictwa w Organizacji Państw Amerykańskich, dotychczasowej opoki Guaido. W na Twitterze popisał się senator Marco Rubio, najaktywniejszy w USA lobbysta wenezuelskiej opozycji, który nawiązując do sytuacji Maduro wkleił zdjęcie płk. Kaddafiego, zrobione mu tuż przed śmiercią z rąk motłochu. Intencje interwentów stały się jasne, przestali się z nimi kryć. Mike Pence i Mike Pompeo zaczęli naciskać na społeczność międzynarodową na większe zdecydowanie w kwestii usunięcia Maduro. Poniedziałek przyniósł im jednak rozczarowanie, ponieważ Lima Group co prawda serdecznie przywitała Guaido, ale jednocześnie wydała oświadczenie, że "kategorycznie wyklucza interwencję wojskową". To samo dziennikarzom powiedział sam

wiceprezydent Brazylii, a jego kraj również przecież uczestniczył w sobotniej próbie (nieudanej) wysłania do Wenezueli amerykańskiej "pomocy" z własnego terytorium.
Jakby tego było mało, "konieczność uniknięcia interwencji wojskowej" podkreśliła Unia Europejska w osobie rzeczniczki szefowej dyplomacji UE Federiki Mogherini. Jeżeli dyplomaci ostrzegają przed użyciem siły, znaczy to, że uznają jej groźbę za realną i jej nie akceptują. Wziąwszy pod uwagę, że wcześniej o niej nie mówili otwarcie, doszło najwyraźniej do osłabienia entuzjazmu wobec "przywracania demokracji w Wenezueli" i stopniowego wycofywania zagranicznego poparcia dla Guaido.
Kompletnie nic nie uzyskał sekretarz stanu USA Mike Pompeo, który na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ nawoływał do jak najszybszego obalenia Maduro, nazywając go "najstraszniejszym z tyranów". Zastępczyni sekretarza generalnego ONZ apelowała o "negocjacje między obiema stronami w celu osiągnięcia pokojowego rozwiązania". Minister spraw zagranicznych Wenezueli Jorge Arreaza spotkał się w Genewie z agencją humanitarną UNHRC i przemawiał na posiedzeniu Rady Praw Człowieka, zwołanym specjalnie w sprawie sytuacji jego kraju, rozmawiał też prywatnie z przedstawicielami ONZ. Wbrew kliszom, jakimi posługuje się większość mediów, rząd Maduro nie został izolowany na arenie międzynarodowej. Wręcz przeciwnie, postępuje dialog.

Grubymi nićmi

Co mogło zagrać na niekorzyść Waszyngtonu i Guaido? Przede wszystkim w ciągu miesiąca, jaki upłynął od 23 stycznia, strona amerykańska wykonała wiele kroków bezczelnych i lekkomyślnych, uznawszy pewnie na początku, że jedną nogą już są w Caracas. Nic nie mogło ich taktyki skompromitować bardziej niż otwarte przyznanie przez Johna Boltona w telewizji, że idą po wenezuelską ropę, i mianowania Elliota Abramsa wysłannikiem do Wenezueli z misją "przywrócenia demokracji". Abrams jest skompromitowanym politykiem, współwinnym ludobójstwa w Ameryce Środkowej, kiedy podobne misje wykonywał dla prezydenta Reagana. Fakt zamieszania Abramsa w zbrodnie prawicowych szwadronów śmierci w Nikaragui, Salwadorze i Gwatemali wywołał na tyle duże kontrowersje, że decyzja Trumpa jest obecnie przedmiotem dochodzenia specjalnej komisji śledczej w Kongresie. Co najciekawsze, Abrams wspierał antydemokratyczne siły w latach 80. właśnie pod płaszczykiem "operacji humanitarnych" we wspomnianych krajach. Jego sprawa bardzo zaciążyła na wiarygodności USA i ich "pomocy" w oczach światowej opinii publicznej.
Sprawie Guaido nie przysłużyło się z pewnością przechwycenie przez wenezuelskie władze transportu broni nielegalnie wwiezionej do kraju drogą lotniczą przez amerykańską firmę handlową. Broń maszynowa i amunicja do ważyły łącznie ponad 10 ton. Firma GPS-Air nadal twierdzi, że "nie wie, jak się to stało". A stało się to przede wszystkim w kontekście amerykańskich samolotów wojskowych lądujących u granic Wenezueli i powrotu Elliota Abramsa "do gry". Rząd w Caracas uważa, że broń była przeznaczona dla wrogiej mu opozycji.
Sprawa "pomocy humanitarnej" z USA straciła też na wiarygodności w świetle narastającej dyskusji o sankcjach nakładanych na Wenezuelę nieustannie od 2017 r. Oprócz tego, że ich szkodliwość dla mieszkańców tego kraju została potwierdzona w raporcie przedłożonym samemu Kongresowi USA, coraz chętniej pisze o nich prasa mainstreamowa. Obecnie nawet tytuły takie jak "The Economist" – sprzyjające skądinąd Guaido – otwarcie piszą, że amerykańskie sankcje jedynie pogarszają sytuację gospodarczą i zaostrzają kryzys, przed którym Donald Trump i Juan Guaido chcą ratować Wenezuelę. Sankcje kosztowały Wenezuelę

do tej pory 38 mld USD i miały jak najbardziej niekorzystny wpływ na poziom życia społeczeństwa. Jak na tym tle wygląda zatem "pomoc" USAID o wartości 10 mln USD? Jest warta mniej niż Wenezuela traci w ciągu jednego dnia przez waszyngtońskie embargo.
Były wysłannik ONZ do Wenezueli Alfred de Zayas już w 2017 r. sporządził raport na ten temat, jednoznacznie dając do zrozumienia, że problem pomocy humanitarnej został dziś zupełnie zinstrumentalizowany i pod jej płaszczykiem wręcz tworzy się już kryzysy humanitarne – metoda ta odpowiada dokładnie historii amerykańskich "humanitarnych" interwencji wojskowych przeprowadzonych w ciągu co najmniej ostatnich 40 lat. Sankcje poprzedzały ataki na Irak, Libię i Syrię – ostatecznie chodzi bowiem o wymuszanie uległości ekonomicznej.
De Zayas podkreśla, że podczas gdy USA i Guaido biją na alarm, że w Wenezueli brakuje żywności i leków, amerykańskie sankcje, które odcięły rząd Maduro od zagranicznych kont, uniemożliwiły władzom zakupy żywności i leków o wartości liczonej w miliardach dolarów. Ekspert, cytowany nawet przez media mainstreamowe, nie ma wątpliwości, że za tę politykę rządy Stanów Zjednoczonych powinny odpowiadać przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym na podstawie art. 7 Statutu Rzymskiego.
Żaden z pierwszoplanowych polityków wenezuelskiej opozycji nigdy nie zabrał głosu przeciwko amerykańskim sankcjom. Sam Juan Guaido poparł ostatnią ich rundę, ogłoszoną po 23 lutego. Do pakietu amerykańskich kompromitacji można dodać fakt wydania w USA książki, w której były szef FBI Andrew McCabe przytacza rozmowę z Trumpem w 2017 r., kiedy prezydent otwarcie domagał się wojny z Wenezuelą, by móc dobrać się do tamtejszych złóż ropy. A także ujawnienie słów byłego ambasadora USA w Caracas Williama Brownfielda, który nalegał, by dobijać Wenezuelę sankcjami za wszelką cenę, nawet kosztem ludzi, nawet jeżeli "dzieci nie będą miały w co się ubrać do szkoły" – wyłącznie na zasadzie "im gorzej, tym lepiej".
Media społecznościowe działają w dużej mierze na niekorzyść agendy interwentów. Furorę zrobił materiał nakręcony przez niezależnego dziennikarza Maxa Blumenthala, w którym odwiedza supermarkety i bazary z subsydiowaną przez rząd żywnością w Caracas. Obraz zarejestrowany kamerą nijak nie przypomina "głodującego kraju" i "kryzysu humanitarnego"…
Amerykańskiemu planowi "rekonkwisty" Wenezueli za pomocą Juana Guaido nie sprzyja też nieugięta postawa ONZ, która konsekwentnie uznaje Maduro za legalnego prezydenta i nie godzi się na zaostrzenie sytuacji politycznej na drodze promocji uzurpatora. Od amerykańskiej, na siłę forsowanej, "pomocy" odciął się Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Już na początku lutego organizacja zwróciła uwagę, że cały czas prowadzą działania pomocowe w porozumieniu z rządem Wenezueli i nie zamierzają angażować się w aktywność nacechowaną politycznie, niosącej ze sobą ryzyko pogorszenia sytuacji humanitarnej zamiast ją polepszyć. MCK ostatnio podwoił budżet przeznaczony na aktywność prowadzoną na terytorium Wenezueli. Organizacja zwróciła też uwagę na to, że podczas próby przeforsowania "pomocy" na moście Santander, w akcji tej uczestniczyły osoby mające na sobie emblematy do złudzenia przypominające oficjalną symbolikę MCK. Czerwony Krzyż oświadczył, że nie ma nic wspólnego z tą "pomocą" i potępiła takie postępowanie, twierdząc, że szkodzi jej wizerunkowi.
Pod koniec stycznia ekipa Trumpa szykowała się do blitzkriegu. Wykazała się jednak rażącą nieskutecznością i całkowitym brakiem wiarygodności, dlatego ich plan "przywrócenia demokracji" w Wenezueli, wydaje się już wyłącznie polityką regime change pod pozorem operacji humanitarnej.
Maduro jest ogólnie źle oceniany przez Wenezuelczyków i jego autorytet ma się nijak do szacunku, jakim darzono Hugo Chaveza. Jest bez wątpienia przywódcą nieudolnym, a jego krótkowzroczna polityka współodpowiada za kryzys gospodarczy, który nęka kraj od 2014 r.

Warto jednak wsłuchać się w głos przedstawicieli organizacji krytycznych wobec Maduro, funkcjonujących w Caracas, które jednak nie akceptują przewrotu, do jakiego zmierza Guaido i jego waszyngtońscy poplecznicy. Edgardo Lander z Platformy Obrony Konstytucji podkreśla, że dzisiejsza opozycja w jego kraju zainteresowana jest wyłącznie konfrontacją, nie przyszłością całego społeczeństwa. O "pomocy humanitarnej" mówi: – To na pewno nie jest żadna pomoc i nie służy żadnym humanitarnym celom (…) To wyłącznie zamach stanu przygotowywany przez Stany Zjednoczone i ich sojuszników, przez Lima Group i wenezuelską skrajną prawicę.
Lander, który rząd Maduro uznaje za nieuleczalnie skorumpowany, uważa, że jego krajowi jest potrzebny dialog wykraczający poza dotychczasową formułę antagonistycznego sporu dwóch zajadle zwalczających się stron, złożonych z zawodowych polityków – zmiana na lepsze musi angażować całe społeczeństwo.
Sam Juan Guaido natomiast nie może w sposób w pełni zasłużony uchodzić nawet za przywódcę opozycji w Wenezueli. Ze słów Henrique Caprilesa, który rok temu był czołowym liderem przeciwników Maduro, również sympatyzującym z USA, wynika, że decyzja Guaido o obwołaniu się tymczasowym prezydentem z rzekomo demokratycznym mandatem nie została poparta przez większość ugrupowań opozycyjnych. Nie ufali mu i bali się taktyki nastawionej na pełną konfrontację z rządem.
Guaido pełni więc wyłącznie rolę amerykańskiego pionka. Począwszy od 23 stycznia, kiedy rozbłysła jego gwiazda, udawało mu się gromadzić wokół siebie tłumy wielbicieli pochodzących z raczej zamożniejszej części społeczeństwa. Teraz po cyrku z forsowaniem "pomocy" przez granicę, jaki urządził 23 lutego, przebywa w Kolumbii. Nie wiadomo, czy wróci do kraju, gdzie ma swoją bazę społeczną. Przez najbliższy czas pozostanie mu wyłącznie uparte powtarzanie, że "wszystkie opcje są na stole".

Paweł Jaworski (strajk.eu)

https://strajk.eu/cyrk-z-pomoca-humanitarna-nie-pomogl-juan-guaido-slabnie/?fbclid=IwAR1NCrnOz7Fk9kCTn-PXL5x1qxa5lTJitUrFpA4m3o7xSpBhVc-Tw4ZL9-s